ROK VI KWIECIEŃ 1934 NR. 4

# PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH
WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

## Z dziejów Hanzy

Był rok 1360. W okolicach Lubeki nad rzeką Trewą siedziało dwu chłopców. Wyplatali z trzciny łódeczki i puszczali je na wodę, przyglądając się, jak gra niemi fala. Wkrótce jednemu z nich dokuczyła ta zabawa, wpatrując się wzdłuż rzeki zapytał brata: „Powiedz, Tidemannie, kiedy wróci ojciec?“ „Chodźmy na jego spotkanie“ odrzekł starszy i ujął za rękę małego Gerwina. Bracia zapomnieli, że matka zakazała im chodzić dalej. Tęsknili do ojca, który wiosną wyruszył do Brügge. Był już wrzesień.

„Pewno ojciec przywiezie co dobrego“ zapytał mały i przed oczyma stanęły mu cudowne owoce południowe, zdumiewająco soczyste i słodkie. Przywoził je ojciec nieraz. „Ojciec płynie“ krzyknął radośnie widząc wynurzający się nad widnokręgiem maszt i żagiel. „Nie!, to wracają do Lubeki rybacy“. Próżne oczekiwanie. Mijały godziny. Mgiełka zaczęła przesłaniać świat. Raptem usłyszano dalekie skrzypienie masztów. Zbliżał się duży statek. Ujrzano wreszcie potężny dziób i szare żagle, nadymane przez wiatr. Na przedzie jaśniał w złotej promienistej koronie posąg Matki Boskiej. „Ojcze, Ojcze!“ krzyknęli malcy z całych sił. Na statku nie usłyszano tego wołania, ponieważ załoga śpiewała, śmiała się i żartowała, ciesząc się z powrotu do domu. Wreszcie zauważył ich jeden z majtków i powiedział kupcowi, który stał na przedzie, wpatrzony w Lubekę. Twarz zajaśniała mu radością, poznał swych synów, wyciągnął ku nim ręce i wołał do nich. Chłopcy, co sił starczyło pobiegli do portu, by wyprzedzić statek i powitać ojca. Kupiec, Bernard Oldenborg, z rozczuleniem patrzał na biegnących chłopców. Przy nim stał radny m. Brügge, który z polecenia ojców swego grodu udał się do Lubeki, która na czerwieni zachodu zarysowała się swemi wieżami. Port był zapełniony mnóstwem okrętów i szkut. Żagle były przeważnie czerwone, lub brunatne. Zadyszani, spoceni chłopcy padli w ramiona ojcowskie. Gościa poprowadzono słabo oświetloną ulicą do mieszkania, w którem pani Brygida szyła przy dębowym stole. Woskowa świeca rozpraszała zmrok. Trwoga zaczęła obejmować samotną kobietę, lecz wkrótce doznała bezmiernej radości — usłyszała głos męża.

Gość był bardzo zamożny. Miał wspaniały płaszcz z najcieńszego flandryjskiego sukna, cennem futrem podbity. Oldenborg miał natomiast tylko skórzaną kurtkę. Po sutej wieczerzy zaczęły się opowiadania o podróży. Z jakim lękiem słuchała żona o niebezpieczeństwach grożących w cieśninie Sund! „Wiedziałem, że król duński, Waldemar, zdobył na Szwedach krainę Szonen i grasuje na morzu. Obawiałem się napadu jego statków na mój. Płynęliśmy wzdłuż wybrzeży duńskich nocą z nadzwyczajną ostrożnością". Gdy opowieść skończono, żona szeptała: „Dzięki Ci, Pani Niebios, żeś roztoczyła opiekę nad mym mężem. Jutro postawię przed Twym obrazem świecę woskową grubości ręki."

Nazajutrz o świcie kupiec udał się do kościoła N. M. Panny, by wznieść ku Niej modły dziękczynne za szczęśliwie ukończoną podróż. Przed obrazami św. Katarzyny i Klemensa położył kilka monet srebrnych. W porcie na jego statku wrzała praca. Kupiec powitał załogę i zstąpił do składów na dnie statku. W ręce miał zwój pergaminowy ze spisem wszystkich nabytych we Flandrji towarów. Waga ich wynosiła 100 tonn. Większa część była jego własnością, lecz część nabył na polecenie znajomych kupców. Nawet każdy człowiek z załogi mógł przywieźć jedną skrzynię. „Lubeczanie, zwłaszcza kobiety, po raz pierwszy ujrzą tak piękne wyroby. Ja pierwszy przywożę filcowe kapelusze, wiązane rękawiczki i woalki" — myślał, wydając zarządzenia do wyładowywania. Na brzegu już oczekiwali kupcy i pośrednicy. Synowie kupca również przybyli na statek i wszystko oglądali. W kabinie ojca ujrzeli wielką kuszę, kilka mieczy i sztyletów. „To do obrony przeciw rozbójnikom morskim" — powiedział starszy. Widząc na pokładzie olbrzymie beczki, zapytali ojca, co w nich jest. „Jest to sól dla rybaków. Kupiłem ją na zamówienie handlarzy solą. Za ten towar, jak i za wszystkie inne, muszą mi zapłacić w ciągu trzech dni. W przeciwnym razie, sprzedam komu innemu. Patrzcie chłopcy — w tych skrzyniach wonne korzenie, z których gospodynie robią przyprawy. Nie brak też cukru do słodyczy świątecznych". „A czy przywiozłeś nam, ojcze, rodzynek i migdałów, jak w zeszłym roku?" Ojciec kiwnął głową. „W tej skrzyni jest pieprz. Przywożą go kupcy weneccy z Palestyny. Inne towary pochodzą ze wschodnich gorących krain, zwłaszcza z Indyj". Następnie wyładowywano wyborną oliwę w kamiennych dzbanach, olbrzymie worki ryżu i mnóstwo beczek z winem. „Wszystko to przywieźli do Brügge obcy kupcy z morza Śródziemnego. Z podziwem przyglądali się chłopcy bogatym darom dalekich cudownych krain. Ujrzeli olbrzymie zwoje sukna flandryjskiego. „Widzicie na każdej bali znak tkacza — to jego herb, z którego on jest dumny". Wyładowane towary umieszczono w składach Oldenborga nad rz. Trewą. Po obiedzie ojciec zapytał: „Chcecie, chłopcy, pójść ze mną do wagi miejskiej? Tam będą

ważone towary, które przywiozłem dla innych kupców?“ Koło wagi miejskiej już stały wozy z towarami i oczekiwała grupa kupców. Oldenborg podszedł do dozorcy i trzech jego pachołków, przywitał się i rzekł do wszystkich: „Panowie, ważcie sami, by nie stała się wam jakaś krzywda“. Po zważeniu wszystkiego, jacyś chłopi prosili dozorcę o zważenie worków zboża. „Czy nie słyszycie, że we wszystkich kościołach i klasztorach dzwonią na Anioł pański? — Przyjdźcie jutro“. Wszyscy obnażyli głowy i szeptali słowa modlitwy. „Idźcie, chłopcy, do domu. Ja za chwilę przyjdę“ — rzekł kupiec i skinął na swego robotnika, z którym udał się do swych składów. Wkrótce robotnik ukazał się z dużym kufrem na karku. Na twarzy ojca malowało się zadowolenie. Gdy weszli do domu, pan kazał słudze postawić kufer na stole dębowym w pokoju jadalnym. Nie było granic zachwytom, kiedy ojciec wydobył wspaniały błękitny jedwabny płaszcz i włożył na ramiona żony. Głowę jej ozdabiały dwa śliczne złociste warkocze. W płaszczu wyglądała jak księżniczka. Ojciec sięgnął raz jeszcze do skrzyni i wydobył haftowaną złotem zasłonę muślinową, używaną przez ówczesne panie i cieniutkie rękawiczki. „Bernardzie! Czyż to wszystko jest dla mnie? Co powiedzą dumne żony radnych miasta, gdy ujrzą w kościele żonę kupca tak pysznie ubraną? Mała córeczka wyciągała rączęta ku ojcu. Kupiec włożył na jej jasną głowę okrągły czerwony kapelusik filcowy. Chłopcy otrzymali lekkie wiązane spodnie z doskonałej wełny. „Takich nie ma żaden chłopiec w Lubece“ — krzyknęli z radością. Nie zabrakło słodyczy i wonnych przypraw kuchennych. Kupiec o wszystkiem pamiętał, gdy był w Brügge, które odegrywało rolę pośrednika w handlu z Włochami i Wschodem, otrzymując od Niemców wzamian za towary kolonjalne budulec, futra, skóry, miód, wosk, towary z Polski i Moskwy. Przybyły z Brügge gość udał się do ratusza z listami od swych radnych. Po drodze zatrzymał się na słynnym rynku, podziwiał wspaniałe kamienice z wierzyczkami i ozdobnemi grzebieniami, przyglądał się mieszczanom, którzy okazale kroczyli, prowadząc żony. Ze wsi chłopi przywieźli dużo jarzyn, owoców i ptactwa. W galerjach ratusza złotnicy i bankierzy zasiedli przy swych stołach, zachęcając do nabycia pięknych kubków i puharów ze srebra. Flandryjczyk zmienił swe guldeny na marki lubeckie i przyglądał się kłótni, która wybuchła między złotnikami a handlarzem sukna, który rozłożył swój towar w miejscu, przeznaczonem dla sprzedających wyroby ze szlachetnych kruszców. Zbesztali go i przepędzili. Uwagę cudzoziemca przykuło wspaniale ubrane małżeństwo. Dumny pan miał na sobie ponsowy aksamitny płaszcz, pyszną futrzaną czapkę i haftowane złotem trzewiki. Takich magnatów nawet we Flandrji nie było. Żona podeszła do złotnika, wybrała najdroższy perłowy naszyjnik i wnet włożyła go. Był tak długi, że sięgał poniżej gorsetu. Miała na sobie kilka sukien i długi tren.

Majestatycznie skierowała się do sklepu z koronkami. Po każdym kroku rozlegały się szmery jedwabnych jej szat i subtelny dźwięk biżuterji. „Kto jest ten jegomość?“ zapytał flandryjczyk, wskazując na właściciela purpury, wchodzącego do ratusza. Sąsiad odpowiedział: „Widzę, że pan jest przybyszem, skoro nie zna radnego Gerharda von Attendorn, który jest właścicielem licznych okrętów i wielkich podmiejskich dóbr. Wątpię, czy się znajdzie w kraju rycerz lub książę, który nie zaciągnąłby u niego pożyczki. Nawet król szwedzki był jego dłużnikiem. Gdyby Pan tylko widział jego wspaniały pałac! Chyba sam cesarz nie mieszka w Pradze z większym przepychem“. Po tej rozmowie gość udał się do ratusza, zastanawiając się nad potęgą Lubeki. Woźni wprowadzili go do sali posiedzeń po szerokich schodach. Usiadł wśród radnych przy stole. Byli tu obok lubeczan przedstawiciele Hamburga, Rostoka i Stralsunda. Przybysza, który nazywał się Kampen, powitał sam Attendorn, oświadczając dumnie, że Lubeka spodziewa się naprawienia krzywd, wyrządzonych jej mieszkańcom w ostatnich latach na wybrzeżu flandryjskiem. Przed Kampenem rozłożono długie zwoje pergaminowe, na których były pisane skargi i określone straty i szkody. W oczach gościa gmatwały się kolumny nazwisk i liczb, które nie wróżyły nic dobrego. Młody radca Wittenborg, nie zważając na zmieszanie się gościa, zaczął sam opowiadać, jak przed dwoma laty został obrabowany przez korsarzy angielskich na flandryjskiem wybrzeżu. Zabrano mu statek z całym ładunkiem. Ledwo uszedł z życiem. Stało się to w pobliżu portu Brügge. Wniósł skargę do rady tego miasta, lecz potraktowano go opryskliwie. Kampen siedział jak na rozżarzonych węglach, słysząc dokoła wrogie rozmowy. By uciszyć niezadowolenie, obiecał odszkodowanie. Nie zważając na to, gruboskórny Wittenborg opowiadał dalej o przygodach swego przyjaciela Grota, na którego statku on został uratowany. Grota zaskoczyła burza. Statek został wyrzucony na piasczyste wybrzeże. Rybacy flandryjscy, zamiast okazania pomocy, zaczęli rabować i zabrali drogocenne zwoje sukna i płótna, oświadczając ze śmiechem na wszelkie perswazje, że jest to ich zdobycz według prawa brzegowego. Następnie poodrywali deski z całego statku, mówiąc, że drzewa mają mało i ono bardzo im się przyda. Piechotą musiał Grote wędrować do Brügge. Na skargi usłyszał w radzie miejskiej odpowiedź: „Nie możemy zakazać rybakom łowienia ryb. Rybą zwą wszystko, co na brzeg wyrzucą fale i wiatry, nawet statki. Taki jest powszechny zwyczaj. Radni Lubeki, słuchając tej opowieści, ponsowieli z oburzenia i głośno żądali zniesienia okropnego prawa. Gdy Kampen dawał odpowiedzi wymijające, rozjuszony Attendorn grzmotnął pięścią w stół i wrzasnął: „Zaniechajcie tych zbójeckich zwyczajów. W przeciwnym razie, żaden kupiec z Hanzy nie zajrzy do was. Zaniechamy z wami wszelakiego handlu.“

Kampen zrozumiał znaczenie tej groźby. Miasto jego mogło zubożeć. Zabrakłoby niemieckiego drzewa i wełny, zboża i piwa. Towary przywożone z Włoch nie miałyby zbytu. Z całych sił ukrywał swe zdenerwowanie i obiecał spełnienie tych żądań. Attendorn podniesionym głosem zażądał, by Brügge zobowiązało się do wyłapania angielskich korsarzy i do płacenia odszkodowania za każdy ich napad. Tego już nie mógł wytrzymać Kampen. Wstał tak gwałtownie, że przewrócił fotel i krzyknął: „Tego już za wiele. Nigdy nie uczynimy tego! Jeśli będziecie nalegali, koniec zgody!“ Powiedział to z wielką mocą i trzymał na stole potężną pięść. W sali zapanowała martwa cisza. Na niektórych twarzach malowało się przerażenie. Na innych nie znać było dawnej buty. Każdy zastanawiał się nad tem, czy nie lepiej uniknąć wojny. Czyż był bowiem lepszy port na Zachodzie. Milczenie, jak ołów, ciążyło na wszystkich. W końcu powstał najstarszy radny. Brodę i kędziory miał jak srebro. Rzekł powoli i z naciskiem: „Zanadto naciągniesz strunę, złamiesz łuk! Panie Attendornie, miasta Hanzy nie będą Panu wdzięczne za kłótnię z radnymi m. Brügge“. Attendorn zmiękł i rzekł: „No, cóż począć, panie Kampen, skoro nie czujecie się dość mocnymi, by trzymać za mordę angielskich zbójców, rezygnujemy z tego naszego żądania“.

Kampen pożegnał się bardzo chłodno. Wracając do domu zgrzytnął zębami, myśląc o doznanej zniewadze.

— — — — — — — — — — — — — — —

W mrokach ciepłej nocy lipcowej spali mieszkańcy m. Wisby na wyspie Gotland. Dwaj strażnicy, pilnujący portu, usiedli na kamiennej dambie i rozpamiętywali hojny poczęstunek, jakim uraczył ich bogaty kupiec Ingmar podczas wesela swej córki. „Ach, gdyby codziennie my, biedni strażacy, mogli się napić takiego winka, i słodkiego miodu. Hojnym jest ten kupiec! Zaprosił wszystkich żołnierzy i strażników i uraczył po królewsku!“ Po niebiosach tłukły się gnane wiatrem chmury. Gdy się przedarły i księżyc oświecił morze, ukazały się na nim jakieś dziwne statki. Było ich ze 30. Parli ku wybrzeżom jak stado chyżych mew. Nie były to okręty kupieckie. Więc czegoż one chciały o tej porze, gdy nikogo nie wpuszcza się do portu? Ominęły port i zagłębiły się w zatokę w południowej stronie wyspy. Wnet zaroiło się strome wybrzeże od licznych wojowników, którzy żywo wdrapywali się na skały. Już była tam spora ich gromada, oczekująca rozkazu wodza, który był wśród nich. Pięknej postawy, świecący żelazem, wskazywał im ręką na Wisby, leżące w dolinie wśród niezmąconej ciszy. Wzrok wodza był władny i drapieżny. Tymczasem reszta wojowników wdrapała się na szczyty. Uformowano oddział i ostrożnie ruszono ku miastu. Zrzadka brzęknął o kamień miecz lub potknął się rycerz, wybuchając tłumionem przekleństwem. Oto są już na zielonej łące

podmiejskiej, na której dziewczęta i młodzieńcy urządzali sobie tańce i zabawy. Księżyc znów wyjrzał i oświetlił twarz wodza. Drżyj, Wisby! Był to król duński Waldemar. Miasto wyglądało upiornie. Iglice licznych kościołów milczały złowrogo. Wysokie wieże na murach ogołocone. Czyż nie było w mieście nikogo, kto uderzyłby w dzwony? Wszyscy spali. Tylko z sali biesiadnej Ingmara dolatywały tony gęśli i dzwonienie puharów. Goście popijali wino ze złotych kubków i zajadali dania na srebrnych talerzach. Gospodarz akurat w tej chwili wzniósł toast na cześć miasta i wołał donośnym głosem: „Chwała Ci, Wisby, królowo Bałtyku! Któż jest potężniejszym od Ciebie? Ze wszystkich krajów z najdalszych wybrzeży płyną skarby ku tobie! Dlatego nie boimy się nikogo! Ostrzegano nas przed królem duńskim, lecz któż się waży napaść na nasze miasto. Chwała Ci, Wisby!“ Spełniono puhary. Goście o promieniejących dumą obliczach gawędzili nadal wesoło. Raptem drzwi gwałtownie się rozwarły, wpadł zdyszany, przerażony strażnik i wrzasnął: „Wrogowie! Duńczycy zdobywają mury!“ On pierwszy zauważył wroga i zadął w róg. Teraz na wszystkich murach rozlegało się pełne trwogi trąbienie. We wszystkich kościołach dzwoniono. Mieszkańcy zrywali się z łóżek, chwytali za broń i wypadali na ulice, tonące jeszcze w półmroku. Dążyli na mury, gdzie już wrzała walka śmiertelna. Duńczycy, jak dzikie koty, wdrapywali się po drabinach, lecz byli rąbani mieczami, miażdżeni młotami i spadali bez życia. Koło południa mieszczanie wypadli z bramy, by spróbować szczęścia w słonecznem polu. Chłopi z okolicznych wsi dążyli na pomoc. Cóż jednak mogli oni wszyscy przeciw żelaznym zastępom Duńczyków? Po całodziennej bitwie legło przed murami 1800 gotlandczyków. Waldemar zamierzał odbyć uroczysty wjazd do zdobytego miasta i w tym celu kazał zrobić ówczesnym zwyczajem odpowiedniej wielkości wyłom w murze. Z niedobrym uśmiechem przyglądał się, jak biedni ludzie burzyli olbrzymi mur, mający 80 stóp wysokości. Potem kazał dostarczyć koni dla wszystkich swych wojowników. Pokaże on zuchwałym handlarzom, kto jest panem na Bałtyku. Obok niego jechał przyjaciel jego książę Eryk Saksoński, który jak każdy ówczesny rycerz niemiecki był wrogiem każdego miasta. „Czekaliśmy tyle lat, rzekł król, lecz wciąż brakowało nam dostatecznej ilości statków. Lecz pamiętajmy, że co się odwlecze, to nie uciecze“. „Słusznie! Wasi wrogowie nazywają Was, królu, Waldemarem Intro“. Na ulicach była cisza i pustki. Wzrok króla z nienawiścią zatrzymywał się na wspaniałych, kamienicach i świątyniach, ze złoconemi, połyskującemi w słońcu iglicami. Nigdy jeszcze Duńczycy nie oglądali takiego bogactwa. Chciwość dusiła drapieżników. Chcieliby zabrać całe złoto, które ukrywały te mury. Wojownicy tymczasem zanucili pieśń, ułożoną przez króla dyszącą nienawiścią ku wyspiarzom. „Goci ważą złoto centnarami, drogo-

cenne kamienie są dla nich igraszką. Żony ich używają złotych wrzecion. Świnie żrą ze srebrnych koryt". Gdy zwycięzcy przybyli na rynek, mieszczaństwo i radni na klęczkach oczekiwali już zdobywcy. Twarz jego była jak z kamienia. „Patrz, rzekł do przyjaciela, jak ci kramarze żebrzą litości. Ha, torby pieprzne, ja wam opróżnię sakwy ze złotem! Ja teraz jestem królem Gotów". Nazajutrz i w ciągu dwu dni następnych rabowano i zabijano. Wisby stało się miastem martwem. Tak w r. 1361 załatwił się Waldemar z tem niemieckiem osiedlem kupieckiem, które skupiło w swem ręku handel na Bałtyku i należało do związku hanzeatyckiego.

Gdy wiadomość o straszliwym pogromie przywiózł swym ziomkom do Lubeki jeden kupiec, który wolał na swym statku umknąć z Wisby, w mieście wybuchła szalona nienawiść do Danji. Codziennie na rynku gromadzili się mieszkańcy i omawiali sytuację. Wzywano inne miasta do wspólnego wystąpienia, zemsty i powetowania sobie wyrządzonych przez rabusiów strat. Opowiadano, że Waldemar przed napadem był w Wisby przebrany za kupca i wszystko należycie zbadał. W radzie miejskiej uchwalono zerwać wszelkie stosunki z Danją i szykować się do wojny. Najgłośniej zachęcał do tego Wittenborg, który zjawiał się na posiedzeniach z mieczem przy boku, a na ulicach witany był entuzjastycznie przez wojowniczo usposobione tłumy, które wreszcie przeparły wybór jego na burmistrza ku wielkiemu niezadowoleniu bogacza Attendorna, zazdrosnego rywala. Cały rok nowy burmistrz energicznie szykował się do wojny. Cesarz nie mógł przysłać żadnej pomocy, gdyż w państwie były rozruchy. Na wiosnę, 1362 r. Hanza miała już 40 kupieckich statków, uzbrojonych należycie i nadających się do działań wojennych. Najwięcej okrętów wystawiła Lubeka, to też jej powierzono prowadzenie wojny.

Był chłodny dzień kwietniowy, o wybrzeże, na którem pani Brygida z dziećmi żegnała męża, tłukł grad. Kupiec zamienił się w rycerza. Miał na sobie lśniący pancerz, przy boku szeroki miecz. Statek jego mieścił setkę wojowników i wielką maszynę oblężniczą. Na burcie dobudowano z grubych desek parapet ochronny.Nawet na wielkim maszcie umieszczono basztę do miotania pocisków. „W tem gniazdku umieszczę najlepszych strzelców" pomyślał wódz i zajął miejsce, z którego pożegnał ludzkie mrowie na brzegu i dał znak do odjazdu. Ciężkie statki powoli ruszyły na morze. Na każdym powiewała flaga Lubeki. Po twarzy Brygidy popłynęły łzy, gdy wierzchołki masztów zniknęły za widnokręgiem.

Smutek panował w mieszkaniu Oldenborga. Chociaż był słoneczny dzień, przez małe mętne szybki okrągłe, wprawione w ołowiane gniazda, tylko słabe światło przedzierało się do komnaty, w której przy kołowrotku siedziała pani Brygida. Przed kilkoma dniami otrzymała list od męża i czytała go kilkakrot-

nie codzień. Mąż nauczył ją sztuki czytania i teraz rozumiała sens, ukryty w szeregach literek na żółtym pergaminie.

„Już od 10 tygodni stoimy przed twierdzą Helsingborg. A Szwedzi i Norwegowie nie przysłali obiecanej pomocy. Jednak nie obawiaj się! Czuję się dobrze!" A więc wyprawa wojenna nie jest tak łatwą jak podróż kupiecka!? Od szeregu dni serce jej ściskał lęk. Chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza, otworzyła okno. Usłyszała dalekie krzyki tłumu i ujrzała sąsiadkę, która biegła ku bramie miejskiej. „Okręty nasze wracają" — usłyszała. W jednej chwili była na ulicy i mknęła ku portowi. Tu był ścisk, tłumy przyglądały się statkowi, który powoli się zbliżał. „Czemuż tylko ten jeden" — pytano z niepokojem. To był okręt admiralski. Gdy przybił do brzegu, zszedł z niego w złocistym pancerzu Wittenborg. Oblicze miał blade, wzrok ponury. Ledwo kiwnął głową i nic nie mówiąc przeszedł przez milczące tłumy. „Gdzie nasza flota? Czyżby admirał wracał sam" — rozległy się trwożliwe głosy". Kolana się ugięły biednej kobiecie. „Gdzie Bernard?" jęknęła.

Tegoż wieczora uderzył dzwon ratuszowy, wzywając do obrad. Nie wszyscy radni przybyli na posiedzenie. Brakowało tych, którzy wyruszyli na wyprawę. Wittenborg przybył w czarnym płaszczu. Zdławionym głosem oświadczył: „Szlachetni panowie! Przywożę smutne nowiny. Wracam sam. Obawiam się, że nie wielu wróci. Na naszą flotę napadł przemożny wróg porozbijał, rozproszył, lub zabrał do niewoli nasze statki".

Zimny pot okrył jego czoło. Ojcom miasta zaparło oddech. Tak nieprawdopodobną wydała się im potworna wiadomość. „Zdrajco!" zagrzmiał Attendorn, nie mogąc stłumić swej wściekłości. Wittenborg żachnął się, zbladł jak kreda, lecz nieustraszonym wzrokiem zmierzył śmiertelnego wroga i odpowiedział panując nad sobą: „Panie radny, miarkuj swe słowa! Zdrajca zniknąłby tchórzliwie. Nie stałby przed wami, by zdać sprawę ze wszystkiego!" Spojrzał dookoła. Radni milczeli ponuro i unikali jego wzroku. Wreszcie osiwiały najstarszy z nich rzekł: „Niech pan mówi, panie Wittenborg. Wypada nam wpierw wysłuchać pana, a potem powiedzieć, co sądzimy. Admirał rozpoczął smutną opowieść o pogromie swej floty.

Po 12 tygodniach oczekiwania pomocy od Szwedów i Norwegów, rozkazał on załodze wylądować i przypuścić szturm do miasta. Żaden statek nieprzyjacielski od początku wyprawy nigdzie nie był zauważony. I właśnie wówczas, gdy na statkach niemieckich pozostała mała tylko część załogi ukazała się niespodzianie cała duńska flota i zaatakowała Niemców. 12 największych okrętów odrazu wpadło w ręce Waldemara. Inne poszły na dno, lub umknęły w nieznanym kierunku. Jedynie okręt Wittenborga zdołał się obronić należycie. „Dlaczego pan nie połączył rozpierzchniętych statków i nie roz-

począł walki nanowo" — padło pytanie. Attendorn krzyknął: „A jednak jesteś zdrajcą! Myślałeś tylko o własnym ratunku. Drogo za to zapłacisz!" — „Dalsza walka była bezcelowa. Dlatego zawarłem z Waldemarem rozejm, by uratować dla was resztę floty. Wyda nam jeńców, gdy nadeślemy okup". — „Doskonale wywiązałeś się ze swego zadania, panie Admirale. Należyta nagroda cię nie ominie!" Wittenborg zrozumiał, że wśród obecnych nie ma żadnego przyjaciela. Wolałby z Oldenborgiem i innymi dzielnymi leżeć na dnie morza, niż stać tu i być zwiastunem klęski. Z placu doleciał pomruk wzburzonego tłumu. „Będą mię teraz przeklinali" — pomyślał admirał z goryczą i rzekł: — „Panowie radni, pozwólcie mi odejść. Bezemnie potraficie sobie radzić". Ukłonił się grzecznie i mocnym krokiem wyszedł z sali. Miał jeszcze jedno trudne zadanie, — oddać pani Brygidzie ostatnie pozdrowienie jej męża,

Wśród radnych panowało wielkie oburzenie. Uznano burmistrza za winnego klęski i postanowiono osadzić go w baszcie więziennej. Z jadowitym uśmiechem Attendorn myślał: „Z wieży wyjdziesz chyba po to, by przejść na plac stracenia". I rzeczywiście — po dwu latach udręki więziennej kat jednem cięciem miecza ściął nieszczęsną, lecz dumną głowę admirała. Wyprawa jego kosztowała miasta niemieckie przeszło 30 mil. złotych. Waldemar był panem Bałtyku i pobierał olbrzymie cła od statków, które płynęły przez jego cieśniny na morze północne.

Minęły dwa lata. Z Lubeki wypłynął ku północy naładowany zbożem i mąką statek, ozdobiony na przedzie figurą św. Olafa, patrona marynarzy bergeńskich, udających się do Norwegji. Na statku był 15 letni Tidemann, syn Oldenborga. Dziękował staremu marzynarzowi, że zabrał go ze sobą. Był to przyjaciel jego ojca. „Obiecałem twej matce, że zaopiekuję się tobą". Dobrze ci będzie na morzu. Gdy siedziałem w lochu duńskim z 50 kolegami, wówczas dopiero zrozumiałem, czego warte jest morskie przestworze! Raptem doleciały ich wzburzone głosy. W tylnej części pokładu oblęgał kucharza tłum marynarzy, którzy z kubkami w ręku nacierali, żądając jeszcze piwa. Kucharz, czerwony od złości, sypał przekleństwa, wymachiwał olbrzymią drewnianą łyżką i zasłaniał beczkę swem ciałem. „Wy bezczelni, wiecie przecież, że należy się wam tylko jeden kubek" — krzyczał ochrypłym głosem. Draby parli na kucharza, grożąc pięściami. Jeden wywrócił beczkę i piwo polało się na pokład. Drugi z wściekłością zaczął zadawać kucharzowi razy. Stary marynarz jednym susem znalazł się wśród tłuszczy. „Spokój! Łotry!" — zagrzmiał tak, że zgraja cofnęła się przed groźnym kapitanem. Doświadczonem okiem dostrzegł, że sprawcami rozruchu byli ci dwaj morynarze, których przed wyjazdem zwerbował w Lubece. Potrzebował ludzi nieustraszonych, więc nie mógł przebierać. „Jesteśmy na morzu. Wedle zwyczaju zaznajomię was z prawem morskiem.

ROK VI. KWIECIEŃ 1934 Cena 50 gr. 4

# PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

„Nad poziomy wylatuj a okiem słońca ludzkości całe ogromy przenikaj z końca do końca".

## Treść nr. 4.





POZNAŃ 1934

Adres Redakcji Administracji: ulica Karwowskiego 22 III.

Konto P. K. O. 211 569

Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.

Tłoczono w Drukarni Nakładowej, Poznań, Piekary 20-21 — Telefon 2560.

## DO NASZYCH CZYTELNIKÓW:

Zaczynamy szósty rok naszej pracy, która znajduje coraz więcej zrozumienia u osób dorosłych i w kołach młodzieży. Żywimy więc nadzieję, że przy należytem poparciu ze strony czytelników uda się nam udoskonalić nasze pismo jeszcze bardziej i uczynić je w jeszcze większym stopniu pożytecznem i potrzebnem dla wszystkich, a dla wielu niezbędnem.

Kto interesuje się historją i życiem ludzkości współczesnej, a takim powinien być przecież każdy, ten znajdzie w tem czasopiśmie nadal, jak znajdywał w niem w latach poprzednich, wiarogodne i barwne wiadomości, przeważnie całkiem nieznane albo też takie, które stanowią w danej chwili pożądane dopełnienie i odświeżenie tego, o czem się tylko to i owo wiedziało lub o czem się już nawpół zapomniało.

Każdy pedagog znajdzie w „Przeszłości" artykuły z dziejów wychowywania i nauczania, a każdemu nauczycielowi historji, czy to w szkole średniej czy to w szkole powszechnej, to czasopismo, jedyne dotychczas w tym rodzaju, dostarcza wskazówek z metody historji i obfitego materjału rzeczowego, który w całości może być użyty w klasie gwoli ożywienia i urozmaicenia lekcyj lekturą, zdolną wywołać w umysłach uczniów niezapomniane obrazy czasów minionych (np. artykuł Finnemore „Z życia angielskiego XVIII w."), albo przejąć ich głębiej opisywanemi zdarzeniami, lub postawić im przed oczy żywy wizerunek któregoś z wielkich mężów ludzkości (np. życiorys Hoovera).

Znakomitem ułatwieniem okolicznościowych pogadanek, referatów i przemówień są wskazówki bibljograficzne, przy pomocy których każdy średnie wykształcenie swoje pogłębić i rozszerzyć może.

Zwłaszcza młodzieży dopomaga „Przeszłość" do wżycia się w odległe epoki i do odczucia ich tętna, ich wzlotów i upadków, odkryć i błędów, trudów i cierpień; ułatwia jej ogarnięcie jak najszerszych widnokrągów w myśl mickiewiczowskiego wezwania, wziętego za hasło „Przeszłości", i wzbudza zainteresowanie całą ludzkością — wszystkiemi państwami, krajami, narodami: Hindusami, Chińczykami, Ameryką, Abissynją, Kaukazem...

Treść ostatnich numerów podana jest na str. 3. okładki. Czytelnicy! zachęcajcie więc swoich znajomych do prenumerowania „Przeszłości" w r. 1934 i do nabywania roczników z r. 1929, 1930, 1931, 1932 i 1933. — Przeczytajcie uważnie wszystkie strony okładki.

---

## Opinje o „Przeszłości" wyrażone w listach lub ustnie:

**Prof. Uniw. Pozn. Kleczkowski:** „Przeszłość" jest dobrze redagowana."

**Prof. W. S. H. w Poznaniu S. Ropp:** „Czytam „Przeszłość" zawsze z zainteresowaniem."

**Prof. Uniw. Pozn. I. Hofman:** „Pismo interesujące."

**Dyrektor Gimn. w Warszawie St. Fedorowicz:** „Przeszłość" czytamy z wielką przyjemnością."

**Dyr. Semin. Naucz. Żeń. w Grodnie, W. Czapowówna:** „Przeszłość" ogromnie mi się przydaje przy wykładach."

**Dr. M. Fenikowski w Poznaniu:** Zainteresowałem uczniów, czytając urywki z „Przeszłości".

**Prof. A. Ratyński ze Skierniewic:** „Z prawdziwą przyjemnością prenumeruję „Przeszłość". Wrażenie z otrzymanych zeszytów było nader dodatnie. Wydawanie „Przeszłości" jest niezwykłem w Polsce przedsięwzięciem."

**Dyr. Archiwum Państw. w Poznaniu, Dr. Kaczmarczyk:** „W „Przeszłości" są ciekawe rzeczy."

**„Miesięcznik Pedagogiczny", Nr. 10 (Cieszyn).** „W Poznaniu wychodzi bardzo cenny miesięcznik historyczny, „Przeszłość". Artykuły w nim zamieszczone muszą rozbudzić zainteresowanie wśród nauczycielstwa, które też z powyższem pismem powinno się zapoznać bliżej".

Słuchajcie! Jesteśmy zdani na łaskę Bożą wśród fal i wichrów. Zewsząd otaczają nas niebezpieczeństwa. Dlatego musi być porządek. Zacznijmy od modlitwy". Wszyscy obnażyli głowy i zanucili pieśń żeglarzy ku Matce Boskiej.

Następnie wybrano czterech sędzów, sekretarza, przewodniczącego i kata, który miał wykonać wyrok śmierci. Wreszcie kapitan donośnym głosem odczytał prawo morskie: „Nie wolno bluźnić i wzywać djabła! Przed snem pomodlić się Nie włóczyć się z latarką po statku. Po zachodzie słońca nie grać w karty i kości. Nie marnować pożywienia. Nie kłócić się z kucharzem. Nie przeszkadzać innym w pracy. Za przekroczenie tych rozkazów czeka kara pieniężna. Kto zaśnie na warcie, lub rozpocznie kłótnię przy stole, zostanie wychłostany. Kto porwie za broń, krótką lub długą, temu ostrzem tej broni przybijemy rękę do masztu, a drugą rękę skrępujemy. Wyzwoli się wówczas, gdy sam przepiłuje sobie rękę o owo ostrze. Nikomu nie wolno mścić się na wykonawcy naszych wyroków". W grobowem milczeniu słuchało bractwo tych strasznych słów. Od tej chwili swawola ustała. Zaczęło się panowanie porządku. Wszyscy zabrali się spokojnie do swej pracy, płynąc po zakup śledzi u rybaków duńskich. To, co ujrzał po kilku godzinach Tidemann, pozostało mu w pamięci na całe życie. Koło wyspy Szonen płynęły warstwy śledzi, jak okiem było można ogarnąć. Miljardy srebrzystych ryb stłoczyło się tak, że z trudnością się posuwały. Łodzie rybackie podnosiły się na ich grzbietach. Wiosłami można było pracować z największym wysiłkiem. Na brzegu wrzała gorączkowa działalność — robiono nowe sieci, bednarze klecili beczki. Tysiące łodzi nawet w nocy przy świetle pochodni zagarniały sieciami bezmierną ilość ryb, które na brzegu czyszczono, solono, lub wędzono, pakowano do beczek. Powietrze było straszliwie zatrute gnijącemi wnętrznościami. Podczas tego połowu ustawały nieporozumienia między Duńczykami a Niemcami. Duński rybak zmarnowałby znaczną część zdobyczy, gdyby kupiec hanzeatycki wnet jej nie kupił. W wiekach średnich ludzie ściśle przestrzegali postów, spożywali ogromne ilości ryb. Wskutek tego śledzie stały się głównem źródłem bogactwa Hanzy. Gdy po r. 1425 śledzie zaczęły odbywać swe wędrówki na Morze Północne daleko od brzegów Danji, Holandja, zaczęła gałtownie się bogacić.

— — — — — — — — — — — — — —

Zakupiono kilkaset beczek śledzi, przywieziono je do Lubeki i zaczęto się szykować do podróży norweskiej..

Podczas tej podróży wypadało starannie wymijać wartownicze statki duńskie, a później rafy Norwegji. Po kilkunastu dniach statek dotarł do rojowiska wysepek i skał, zamykających wstęp do portu Bergen. Trzeba było wziąć na okręt miejscowego przewodnika, który prowadził statek między niebotycznemi skałami fjordów. Kropił deszczyk, wszystko było szare, smutne. Ni-

gdzie zieloności, wszędzie martwe głazy. „Oto Bergen, chłopcze, rzekł nagle kapitan. Widzisz ten wysoki kościół o dwu wieżach. Zbudowali go niemieccy żeglarze i kupcy. Drewniane, różnobrawne domki z trzech stron otaczały zatokę. Za nią była dzielnica niemiecka przy „Niemieckim Moście". Tu były składy kupców Hanzy. Na każdym budynku był zawieszony okazały herb miasta rodzinnego. Norwegom Niemcy nie pozwalali mieszkać w swej dzielnicy. Ludność tubylcza mieszkała przeważnie w marnych chatach rybackich. Tidemann poczuł się jak w ziemi niemieckiej, zewsząd otaczali go swoi, brzmiała tylko mowa niemiecka. Na lubeckim dworze kupieckim ujrzał herb miasta rodzinnego — połowę orła oraz godło kupców — ukoronowaną rybę bez ogona i bez głowy. Obszerny gmach przepojony był zapachem tłuszczu rybiego tranu. Kapitana powitał zarządzający domem i dowiedział się od niego, że chłopiec przybył tu na praktykę, jak to uczynił przed laty jego ojciec. Pachołek wskazał im wąziutkie schody, po których weszli do swego pokoju. Ku wieczorowi z góry. panującej nad miastem powiał silny wiatr. We dworze zgromadzili się wszyscy marynarze, jakgdyby to była jedna rodzina. Duża sala była słabo oświetlona łuczywem i lampkami, napełnionemi tłuszczem rybim. Pośrodku płonęło duże ognisko. Dym częściowo tylko ulatywał przez otwór w dachu i gryzł oczy obecnych. Wśród ciężkiego zaduchu pełno było wrzasków, śmiechu, stuku. Ludzie, którzy przez cały dzień pracowali pod deszczem na wichurze, przeważnie w milczeniu, teraz przy kubku używali życia, nie krępując się, hałaśliwie. „Nie bój się, młody. Marynarze są szorstcy i mowa ich twarda jak skórzane kurtki, lecz serca mają zacne i wierne" — temi słowy kapitan dodał otuchy chłopcu, onieśmielonemu wśród hałastry. Kapitana posadzono wśród starszych na miejscu honorowem, chłopca wśród młodzieży. Postawiono przed nim talerz drewniany z wędzoną rybą. Niezbyt kwapił się do tego przysmaku. „Jesteś chyba matczynym synalkiem" — powiedział urągliwie sąsiad. „Łyknij no piwa — pójdzie lepiej". Tidemann podniósł kubek do ust, lecz skrzywił się bardzo — tak gorzkiem był napój. „Czekaj no, jak zaznasz głodu i pragnienia, to ci wszystko będzie smakowało. Wśród chłopców nie mało było sierot i biedaków, z którymi srogo obchodzili się starsi, co uczyniło ich złośliwymi: „Czy widziałeś wędzonego chłopca" — zapytał Jurgen Tidemanna. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. „Wędzono mnie już dwa razy. Wisiałem w dymie. Wkrótce sam zostanę cechowym i dam się we znaki młokosom. Lecz dziś będą mnie wędzić po raz ostatni". Tidemann ze zdumieniem słuchał tych dziwnych słów, gdy rozległ się głos jednego ze starszyzny: „Zabawmy się w wędzenie". Chłopcy przynieśli drabinę. Jeden z nich włożył powróz do kółka, umocowanego w pułapie koło otworu dymnego. Końcem powroza owiązano kibić Jurgena.

# Liceum Krzemienieckie dawniej a dzisiaj

Niestety po roku pracy umiera Feliński, zostawiając po sobie niczem niezastąpioną lukę. Tymczasem nastały w Wilnie złe czasy — czasy Nowosilcowa, Pelikana. Śledzili oni ruchy młodzieży, posądzali o spiski, zarzucali zbytnie polanizatorstwo L. K. Niespodziewana śmierć Aleksandra I. i wstąpienie na tron Mikołaja zagroziło istnieniu Liceum. Na nieszczęście w roku 1830 wybuchła jeszcze w Krzemieńcu cholera i tak przeraziła wszystkich, że uczniowie porozjeżdżali się do domów rodzicielskich, a szkoły opustoszały zupełnie. W ślad za cholerą zawitała na Wołyń wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie, co było dla rządu hasłem zwinięcia zakładu: jakkolwiek nikt z uczniów, ani profesorów nie mógł mieć i nie miał udziału w tym ruchu politycznym. Dnia 21 sierpnia 1831 r. wydaje rząd rozkaz zamknięcia zakładów naukowych Podola, Wołynia i Ukrainy.

Wraz z zamknięciem Liceum zanika bujne życie towarzyskie, zjazdy ziemiaństwa, wesoły gwar uczącej się młodzieży. Miasto pustoszeje. Umilkł dzwonek licealny, pozostali profezorzy — emeryci powoli wymierają — inni w świat się porozjeżdżali. I dziczało powoli „mądre miasteczko", wiatr teraz tylko uliczkami samotnie chodził. Zaczął natomiast napływać żywioł żydowski, który przyczynił się tylko do ruiny miasta. Władze rosyjskie także celowo hamowały rozwój Krzemieńca.

Po wojnie światowej zaczął się dla Krzemieńca nowy okres, nie zapomniano bowiem o działalności i roli Liceum na kresach. W uznaniu ważności idei Czackiego i Kołłątaja w maju 1920 r. wydaje naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, dekret, wskrzeszający z powrotem Liceum Krzemienieckie. Oczywiście, że na poziomie dawnej swej świetności stanąć ono jeszcze nie mogło, zwłaszcza pod względem organizacji programu szkoły i życia towarzyskiego, ale usiłuje, — co więcej — wpływa już widocznie na kształtowanie się życia całego Wołynia.

Gmachy Liceum napełnia dzisiaj znowu gwarem młodzież nie tak świetna majątkiem i urodzeniem, ale równie owładniała ideami. W licealnych zakładach szkolnych i internatach przewija się przez różne typy szkół blisko tysiąc młodzieży, korzystając tak z opieki moralnej, jak i materjalnej. Liceum podejmuje nowe próby w dziedzinie nauczania i wychowania; naukę prowadzi się tutaj metodą daltońską. Inicjatorką tego sposobu nauczania była ś. p. Marja Górska, bibljotekarka L. K. tłumaczka dzieł Boveta. Liceum pragnie bowiem wykształcić swych wychowanków na ideowych, śmiałych, samodzielnych i zaradnych realizatorów idei Czackiego. Specjalną opieką otacza się tutaj dziedzinę kultury muzycznej, przez wprowadzenie stałych audycyj muzycznych. W czasie wakacyj organizuje Zakład „Muzyczne Ognisko Wakacyjne" w którem nauczycielstwo z całej Polski ma możność pogłębienia swej wiedzy i kultury muzycznej. Audycje te odbywają się w sali kolumnowej, z empirową ornamentyką przyległej do bibljoteki, lub w sali teatralnej, służącej nietylko dla Liceum, lecz i dla całego miasta, które nie ma odpowiedniej ku temu sali. Sala ta liczy 300 miejsc. Prócz tego wprowadzono w program nauk obowiązkowe lekcje dykcji. W dziedzinie wychowania fizycznego rozporządza szkoła boiskami do gier i zabaw, kortami tenisowemi, pięknym parkiem, rozpościerającym się na wzgórzu licealnym, terenami narciarskimi. Urządza się też wycieczki — piesze po Wołyniu i dalsze, celem poznania i ukochania kraju.

Liceum posiada nawet w lasach Michałówki własne sanatorjum, gdzie uczniowie osłabieni i chorzy znajdują zdrowie. O swoich wychowanków dba Zakład i po ukoń-

czeniu gimnazjum, udziela im stypendjum na wyższych uczelniach. Byli uczniowie założyli też „Zrzeszenie Byłych Wychowanków Liceum Krzemienieckiego", którego zadaniem jest praca nad przebudową życia społecznego, czyli dalsza realizacja idei Czackiego. Nawet uczniowie biorą w tej pracy żywy udział n. p. w dniu 11 listopada, zamiast akademji w Liceum, zorganizowano wyjazd czterech najstarszych klas gimnazjalnych i seminarjalnych do szkół wiejskich powiatu krzemienieckiego, celem urządzenia w tychże akademij artystyczno literackich.

Nic dziwnego, że turyści po przyjeździe do Krzemieńca, pierwsze swe kroki kierują do Liceum. Cały kompleks białych licealnych budynków wabi do siebie i nie pozwoli przejść obok siebie obojętnie. Historja krzyczy tu wprost niezbitymi faktami. Z murów tych bije dziwna powaga a zarazem jasność. Oczywiście kościół licealny sprawia na widzu największe wrażenie. W takiej mieście mieści się prześliczny barak, z olbrzymią kopułą pośrodku i dwiema wieżami od frontu. Przed kościołem piękny skwer, otoczony balustradą z kamiennemi rokokowemi urnami i amforami. Podobno za czasów Czackiego odbywały się tu zabawy młodzieży, w których sam Założyciel brał udział.

Wielkie zainteresowanie wzbudza też Bibljoteka, umieszczona w olbrzymiej sali, założona w r. 1923.

Z całą uprzejmością, mimo, że to niedziela i wakacje przyjmuje nas obecny jej bibljotekarz p. Mieczysław Zadróżny, objaśniając jakim jest jej stan dzisiejszy, oraz zakres działalności jej na Wołyniu. I tak Zarząd L. K. zdołał już 10.000 książek pozyskać dla Bibljoteki, częściowo tylko z darowizn, przewagę zakupił sam. Bibljoteką interesują się i ludzie mieszkający zagranicą — hr. Izydor Czosnowski, mieszkający stale w Rzymie przysłał kilkanaście bardzo cennych, skompletowanych dzieł. Interesujący się specjalnie i zakochany wprost w Wołyniu konsul angielski, którego nazwisko znaleźliśmy także w księdze zwiedzających Muzeum Wołyńskie w Łucku, ofiarował szereg dzieł w j. niemieckim, odnoszących się do czasów powstania w r. 1831. Dzieła bibljoteki nie są jeszcze skatalogowane — niema bowiem stabilizacji bibljoteki, gdyż ilość książek stale się powiększa. Z bibljoteką łączy się i czytelnia, mająca 63 czasopism. Ruch tutaj wielki — w miesiącu wypożycza i korzysta z czytelni 1700 osób, co na tak małe środowisko jest liczbą kolosalną. Z bibljoteki korzystają nietylko miejscowi, jest to instytucja, której zadaniem jest ułatwienie i umożliwienie pracy naukowej całemu Wołyniowi. „Ideą przewodnią Liceum było: przez poszanowanie w uczniu człowieka — wychowanie dobrego, odpowiedzialnego za swe postępki, oddanego dobru publicznemu obywatela. Idea ta nie zawiodła w praktyce. Wiara w człowieka okazała się słuszną. Na tej też zasadzie, — na wierze w człowieka, bibljoteka licealna wysyła dziś żądane książki w okolice Wołynia bez żadnego rewersu — i dotąd ani jedna książka nie zginęła — ani jednej książki nie brak", — objaśnia p. Zadróżny. Zatem dzisiaj realizuje się taksamo idee twórcy ich, jak i za jego życia. Sam zaś bibljotekarz p. Zadróżny nie mniej zdaje się być oddany swej pracy i ukochaniu tych książek, jak jego poprzednik z przed stu laty, Paweł Jarkowski. Pozatem w Bibljotece wiążą się nici pracy społecznej, dążącej do wytworzenia nowych form życia kulturalnego. Ona prowadzi domy ludowe, odczyty, bibljoteki wędrowne, urządza konkursy dobrego czytania książki, chóry, teatry. I w tem jej niewątpliwie bardzo wielka zasługa, i tego niestety nie spotyka się w innych środowiskach, promieniujących starą kulturą.

Jeżeli chodzi o charakter dzisiejszych szkół, to są one różnorodne. Składa się na nie 1. Seminarjum Naucz.. 2. Gimnazjum matem. - przyr. 3. 7-mio kl. szkoła ćwiczeń

oraz 4 przedszkola. Liceum Krzemienieckie jest w szkolnictwie jednostką samodzielną, zależną bezpośrednio od Ministerstwa Oświaty, oraz samowystarczalną gospodarczo. Kierownik jej ma tytuł Wizytatora, gdyż taki tytuł posiadał Czacki. Fundusze na swe cele i wydatki czerpie Liceum z należących doń majątków i przedsiębiortsw przemysłowych. Liceum posiada 6 folwanków, i 8 nadleśnictw, oraz 3 tartaki: we Lwowie, Surażu i Smydze, gdzie jest również fabryka mebli.

Takie są dzieje Krzemieńca, — Krzemieńca, który dziś na krańcach realizuje koncepcję „człowieka o nowym stosunku do pracy", twierdząc, że człowiek żyje o tyle, o ile pracuje, tworzy, zmienia otaczającą rzeczywistość na lepsze, — a poza swą pracą nie istnieje. Przykładem prawdziwości tego twierdzenia jest fakt, że Polska nie zginęła, mimo utraty bytu suwerennego, — bo miała synów, którzy twórczą swą pracą i ofiarą życia zadokumentowali Jej istnienie. Zrozumiawszy całą doniosłość i prawdę tej idei, nie pozostaje nic innego, jak iść „w służbę życiu", co też Krzemieniec czyni.

**I. Makosińska.**———

Literatura: 1) Ateny Wołodyńskie. Michał Rolle, 2) W promieniach Wilna i Krzemieńca. Ludwik Jaworski, 3) Listy do matki, Słowacki. 4) Przewodnik po Krzemieńcu, 5) Życie krzemienieckie (miesięcznik społeczny).

# Zapytania i odpowiedzi.

**Jakiego zdania byli francuzi o żołnierzu rosyjskim i Rosjanach podczas wojny 1914—1918?**

W książce L. Naudeau „Za kulisami chaosu rosyjskiego" czytamy:

„Cechą charakterystyczną Rosjan: „umrzeć łatwiej, niż pracować".

Większość oficerów ros. każdej chwili gotowa oddać życie, ale rzadko skłonni są ci ludzie do pracy: oni tylko marzą — czekając zresztą na moment, w którym wypadnie się poświęcić — o życiu bez troski, bez nudy, bez pracy. To dlatego, że przez długi czas samodierżawie ośmieszyło dobre charaktery, podało w pogardę zapał, podejrzliwie traktowało ludzi wartościowych, często wyższe urzędy oddawało faworytom, kurtyzanom, głupcom.

Żołnierz jest doskonałym obrońcą, ale nie ma l'esprit offensif. On pójdzie na wroga masą nawet pod zabójczym ogniem, jeśli się będzie czuł kierowanym, otoczonym opieką, popieranym. Ale jeśli go zostawić dla samodzielnej, pojedyńczej akcji zdaleka od kolegów, kazać mu korzystać z terenu, z każdego kamienia jak to potrafi Japończyk, Francuz, Niemiec, — on nie znajdzie w sobie mocy, inicjatywy; stanie się chwiejnym, będzie zbity z tropu; przestanie rozumieć i dostanie po łbie.

Rosjanie jeszcze nie są narodem — ale materjałem, mgławicą ludzką.

Wojna 1914 zaskoczyła Rosjan w najbardziej nieodpowiednim okresie — oni już nie posiadali dawnych podstaw jedności — dyscypliny, opartej o bat i mistyczne odurzenie, a nie nabyli jeszcze godności indywidualnej i umiejętności podporządkowania się dobru narodu — całości, przestali być biernymi poddanymi ale nie stali się obywatelami.

Te masy nie otrzymały wykształcenia patrjotycznego. Nie posiadają żadnej tradycji bohaterskiej, do której czują zachwyt nasi uczniowie przy imieniu Wercingetoryxa Bayarda, Duguesclina, Joanny d' Arc.

**Kiedy rosyjska sztuka wojskowa osiągnęła najwyższy poziom?**

Po wojnie krymskiej (1853—1855) i o wyzwolenie Bułgarji (1877—1878) zjawiają się wybitni profesorowie strategji w Petersburskiej Akademji. Zwłaszcza zasłynął Henryk Leer, który w r. 1867 opracował w Serbji plan wojny ros. - tureckiej.

Gdy Moltke, późniejszy pogromca Francji, odwiedził petersburską Akademję Wojskową w r. 1869 oświadczył profesorom, że chyli czoło przed mądrością Leera, któremu nie godzien jest oczyścić butów.

**Kiedy Rosja zaczęła pomagać Serbom w walkach z Turkami?**

Podczas wojny z Turcją 1806—1812 r. Rosja była w sojuszu z Serbją. Słynny wódz powstańców Jerzy Czarny (Karaglorgij) był nazywany przez Aleksandra I. — „miłym bratem", otrzymał rangę generała rosyjskiego i order Aleksandra Newskiego. W r. 1810 granic Serbji broniło 10 kawaleryjskich i kozackich pułków i 21 batalionów piechoty rosyjskiej. Wojsko serbskie liczyło około 50.000. Gdy z powodu wojny z Napoleonem wojska rosyjskie zostały wycofane z Serbji, Serbowie posłali Aleksandrowi I uroczyste zapewnienie, że po wsze czasy zostaną mu wierni. Car w liście do Jerzego zapewniał go, że Rosja uratuje Serbję i odbuduje ją w lepszym stanie.

Pierwsi serbscy oficerowie w liczbie 12 kształcili się w Rosji (1833—1836 r.).

Pierwsi oficerowie serbscy z wyższem wykształceniem wojskowem byli ci czterej, którzy w r. 1869 wstąpili do akademji wojskowych w Petersburgu.

Podczas wojny serbsko - tureckiej 1876 r. wodzem naczelnym Serbii był ros. pułkownik sztabu gener. Michał Czerniajew. Z nim przybyło 718 oficerów, następnie przeszło 4000 ochotników. Podczas porażki Rosji na kongresie berlińskim 1878 kanclerz Gorczakow popierał Bułgarję, czem rozgoryczył Serbów, doradzając im przytem uległość względem Austrji. Serbowie usłuchali rad i w r. 1881 zawarli z Wiedniem tajną konwencję wojskową.

W ciągu lat 50 od 1865 do 1914 Serbja wykształciła w Rosji tylko 100 oficerów, w tej liczbie zaledwie 28 w szkołach wyższych. W r. 1902 Rosja posłała w darze 70 karabinów i 10 mil. naboiów.

Od r. 1861 do 1930 w Serbji potem w Jugosławji było 42 ministrów wojny, którzy przeciętnie sprawowali władzę rok i 2 tygodnie. W tej liczbie było 5 ministrów z wykształceniem rosyjskiem. Oni rządzili 13 i pół lat, czyli przeciętnie po 2 lata i 7 mies. Przed wojną światową Rosja nawiązuje bliższe stosunki z Serbją i posyła jej w sierpniu 1914 — 100.000 karabinów. Obecnie w serbskiej armji (rok 1933) pracuje 160 oficerów — Rosjan i przeszło 1000 urzędników wojskowych.

**Kto zorganizował armję bułgarską?**

Pierwszym ministrem wojny w Bułgarji był rosyjski generał Parensow. Pomagało mu 100 ros. oficerów. Zorganizowali oni w r. 1879 w Sofji szkołę oficerską. W akademji wojskowej w Petersburgu wykształcili się słynni bułg. generałowie: Ratko Dumitriew i Pietrow.

**Kiedy uwidocznił się wpływ rosyjskiej kultury na Serbów?**

Gdy w wyniku zwycięskich wojen Austrji z Serbami (1690—1737) znaczna część Serbów dostała się pod panowanie Wiednia, zjawiają się u Piotra W. wysłańcy, którzy w obawie przed katolicyzmem proszą o rosyjskie książki i o nauczycieli. — W wyniku tej akcji powstaje nawet mieszanina języków rosyjsk. i serbskiego, która prawie 100 lat panuje w nabożeństwie. Lud śpiewa „Poślij nam, Boże, Cara Piotra!".

**Dlaczego na kresach litewsko - białoruskich wzmogła się polskość w pierwszej połowie XIX w.?**

Olbrzymie dobra magnackie uległy rozdrobnieniu, co spowodowało powstanie tysięcy małych gospodarstw szlacheckich. Ta szlachta była najdzielniejszym żywiołem i już w XVIII w. ogromnie wzmacnia polskość terytorjów wschodnich.

Radziwiłł Panie Kochanku posiadał 12 miljonów hektarów. W r. 1840 z tej fortuny pozostało wnuczce jego tylko 1.100.000 hekt. Wygasły litewskie linje Sapiehów, Paców, Pociejów, Chodkiewiczów.

**Jakie były straty Włochów podczas Wojny Światowej?**

Italja zmobilizowała 5 i pół milj. żołnierzy. 500,000 zginęło, ciężko zranionych było miljon, w tej liczbie 200.000 wcale niezdolnych do pracy.

Na mocy traktatu w Rapallo 12 list, 1920 Włochy otrzymały po porozumieniu z Jugosławją 3300 mil. kw. spornego terytorium i 910.000 mieszkańców w tem 500.000 Słowian. Traktat w S. Germain, zawarty z Austrją, przyznaje Włochom Tyrol południowy z 650.000 mieszkańców, w tej liczbie 250.000 Niemców. Włosi byli bardzo rozgoryczeni na Anglików a zwłaszcza na Francuzów i oskarżali ich o niespełnienie obietnic, któremi kuszono w kwietniu 1915 by zyskać Włochów jako pomocników w wojnie. Włosi dostali tylko skrawki w Afryce, w M. Azji nie zyskali nic, z Albanji musieli wynieść się, bo Wilson bronił niezależności tego kraju.

W dziedzinie wewnętrznej Italja odczuwała boleśniej skutki wojny, niż inne kraje zwycięskie. Szalała drożyzna za to, co kosztowało w r. 1914 sto lirów w styczniu 1918 brano 248, a w styczniu 1919 brano 248, a w styczniu 1920 aż 400, podczas gdy w Paryżu tylko 248.

Pierwsze powojenne wybory do parlamentu w listopadzie 1919 dały socjalistom i komunistom 156 miejsc, Popularom (katolicy) 101. Skrajny odłam tych popularów podburzał chłopów. Socjaliści otwarcie dążyli do naśladowania Moskwy, do obalenia monarchji. Podczas mowy tronowej króla opuścili parlament z okrzykami: „Niech żyje socjalizm!". Z tego powodu wynikły krwawe bójki uliczne. Za rządów słabego Nittiego (czerwiec 1919) rozpoczęły się strajki poczty i kolei żelaznych. — W maju 1920 zastępuje go germanofil Giolitti, który był zawziętym przeciwnikiem udziału Italji w wojnie. Robotnicy zabierali fabryki, wdzierali się do banków rabowali skrytki, powstawała czerwona gwardja, tworzono trybunały rewolucyjne, w fabrykach urządzano zabawy i wprowadzono się na stałe z rodzinami.

Zdarzały się wypadki mordowania ziemian. Dobra zagarniali chłopi. Giolitti przyglądał się bezradnie, wreszcie rozpoczął godzić fabrykantów z robotnikami, którzy zgodzili się opuścić fabryki, niesłychanie zanieczyszczone. Stary wyga i cynik, intrygant parlamentarny bez szerszych poglądów, bez energji i inicjatywy, został zastąpiony w czerwcu 1921 przez jeszcze słabszego Bruomi, który w lutym 1922 ustąpił rządy całkiem niedołężnemu Facta. Tymczasem celem obrony przed czerwonem niebezpieczeństwem, tworzyła się olbrzymia organizacja faszystów. Byli to przeważnie byli żołnierze, patrjotyczni, dumni, odważni. W maju 1921 we Florencji zgromadziło się ich 65.000. Przerwali komunikację z innemi miastami i rozpoczęli palenie okolicznych wsi, zmuszając do wypędzenia czerwonych sołtysów i wójtów. Nie żałowano granatów.

# Treść nr. 3 „Przeszłości“ z r. 1934

A. Hłasko Pawlicowa: Reza Khan i odrodzenie Persji. — Dr. Wanda Dobrowolska: Rola książki w życiu współczesnem. — J. Makosińska: Liceum Krzemienieckie dawniej a dzisiaj. — Zapytania i odpowiedzi: Czy wyższe warstwy społeczeństwa angielskiego XVII w. wierzyły w czary? — Czy lud rosyjski odznaczał się skłonnością do wędrówek, włóczęgi i rozbójnictwa?

---

## Wskazówki dla naszych abonentów

**Najtaniej i najdogodniej abonować pismo nasze na poczcie, gdyż każdy urząd przyjmuje prenumeratę. Nie pociąga to za sobą żadnego pisania.**

Poczta wydaje kwit na wpłaconą prenumeratę, która nie jest droższa niż w naszej administracji, i regularnie przesyła pismo. Najdroższym i najbardziej niedogodnym sposobem jest przesyłanie pieniędzy przekazem Lepszem jest przesyłanie należności czekiem P. K. O. Takie czeki sprzedaje każdy urząd; za przesyłkę nic się nie płaci. Pojedyncze numery sprzedają księgarnie kolejowe i kioski.

Adresy i nazwiska należy podawać **całkiem czytelne.** Z powodu niemożności odczytania niektórych nazwisk nie wysyłamy dotąd naszego pisma

---

# Treść roczników z r. 1929, 1930 i 1931

UKAZAŁY SIĘ ROCZNIKI „PRZESZŁOŚCI“ Z LAT 1929—1933. SĄ DO NABYCIA W ADMINISTRACJI ZA ZŁ. 6 Z PRZESŁANIEM. DWA ROCZNIKI — ZŁ. 11. TRZY — ZŁ. 16. CZTERY — ZŁ. 20. PIĘĆ — ZŁ. 23.

Treść I rocznika: Finemore. Z życia angielskiego w XVIII w. — Życiorysy Mikołaja II i Hoowera. — D'Avenel. Z dziejów kultury francuskiej. — P. Żukowski. Z historji kultury rosyjskjei. — Wojna światowa. — P. Żukowski. Jak Finlandja walczyła o wolność. — Ganżyński. Ze wspomnień kaukaskich. — Wrażenia z kongresu historyków w Oslo. Bibljografja prac w języku polskim o Włoszech i o Rosji i t. d.

Treść II rocznika: Bandura. Udział Mierosławskiego w rewolucji badeńskiej. — Dr. St. Frycz. Nasz dziejowy stosunek do Francji. — P. Żukowski. Losy Ormian. — Rządy Mikołaja I. — Wojna rosyjsko-japońska. — Za kulisami wojny hiszpańsko-amerykańskiej. — Szarecki. Bitwa pod Ossowem. — Wierzbicki. Odrodzenie szkoły polskiej w Wielkopolsce. — Wychowanie w utworach Tołstoja i pamiętnikach Brodzińskiego. — Z. Ganżyński. Życiorys Clemenceau. — Dr. J. M. i H. Ułaszyn. Foch czy Fosz. — St. Wesołek. Portugalja powojenna. — Żukowski. Reformator abissyński. — Porawski. Eurypides w szkole hellenistycznej.

Treść III rocznika: P. Żukowski. Z historji kultury średniowiecznej. — P. Ganżyński. Niemiecki handel murzynami w w. XVII. — Tegoż Pizarro w Peru. — Wesołek. Wojna chłopska w Niemczech 1525 r. — P. Żukowski. Rządy Mikołaja I. — Tegoż. Typowy prusak. — Z pamiętnika rosyjskiego oficera - Polaka o epoce Mikołaja I.

Roczniki z r. 1932 i 1933 kosztują z przesłaniem 6 zł.

 

# „PRZESZŁOŚĆ"

 

## CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

**Wychodzi w Poznaniu 1-go każdego miesiąca.**

Szerokie koła czytelników polskich nie posiadają odpowiedniej lektury historycznej. Książek z zakresu historji powszechnej mamy niezmiernie mało. Podręczniki dają wiadomości skąpe i bezbarwne, pomijając całkiem dzieje setek miljonów ludzi: Chińczyków, Hindusów, Egipcjan współcz., nawet Amerykanów. Polak współczesny musi ogarniać jak najszersze widnokręgi! Nie powinien ignorować żadnego, choćby najodleglejszego narodu.

Czyż się śniło powstańcom z r. 1863, że jakaś Japonja we 40 lat potem zgruchocze gliniane nogi Kolosa Rosyjskiego i tem da początek naszemu wyzwoleniu? A czy wszystkim nam wiadomo, że 1.400.000 żołnierzy hinduskich przyczyniło się do zmiażdżenia potęgi germańskiej w 1915—18?!

Czas najwyższy, aby powstało wydawnictwo, któreby budziło głębsze zainteresowanie się dziejami i współczesnem życiem kulturalnem i politycznem ludzkości. Życiorysy wybitnych ludzi, wspomnienia, charakterystyki epok i kultur, opowiadania, zestawienia chronologiczne, wskazówki bibljograficzne, nawet curiosa — oto co ma stanowić treść naszego pisma, które wychodzi od stycznia r. 1929 w Poznaniu pod redakcją lektora Un. Pozn. Piotra Żukowskiego.

W wydawnictwie tem będą stosowane poglądy, zawarte w pracy P. Żukowskiego „O nauczaniu historji w szkole średniej". Poznań 1924. Głównem zadaniem pisma jest rozbudzenie zainteresowania, poruszenie umysłu i uczucia przez przedstawienie rzeczy interesujących w formie żywej, bez balastu naukowego. Redakcja rozporządza najnowszą literaturą zagraniczną.

---

Prenumerata na rok 1934 wynosi zł 7,—, półroczna 3,50, — kwartalnej nie przyjmujemy. Zagranicą 1 dolar rocznie. Zmiana adresu 50 gr.

Za numery zaginione odpowiada *wyłącznie* poczta, gdyż stosowany przez nią system wyklucza możność uchybień z naszej strony. Urzędy pocztowe posiadają spisy prenumeratorów i ich adresy i same zajmują się dystrybucją pisma, nadesłanego bez opasek. W razie nadesłania przez nas mniejszej liczby egzemplarzy — urząd pocztowy wnet wymaga uzupełnienia braków. Wobec tego *nie przyjmujemy żadnych* reklamacyj zaginionych numerów. Należy je skierować *wyłącznie* do swego urzędu pocztowego między 10 a 15 każdego miesiąca. Powtórnie wysyłamy po otrzymaniu 60 gr. za numer.

Prosimy przekazami pieniędzy *nie przysyłać*, lecz używać blankietów P. K. O. Pisać całkiem wyraźnie.

*Roczniki „Przeszłości" z r. 1929, 1930, 1931, 1932 i 1933 są do nabycia w administracji po zł 6 — z przesłaniem. Dwa roczniki zł 11. Trzy roczniki — zł 16. Cztery — zł 20. Pięć — zł 23. Poznań, Karwowskiego 22. Konto P. K. O. 211 569.*

---

Co zrobiłeś dla rozpowszechnienia „Przeszłości", jedynego czasopisma historycznego dla wszystkich?!